

POD PATRONATEM „DZIENNIKA ZACHODNIEGO” ZAKOŃCZYLIŚMY

Harry i jego grzechy

Farsa Nigela Williamsa pt. „Harry i ja” mogłaby być całkiem niezłą sztuką. Ale nie jest, niestety. Wadliwie skonstruowana, tylko w nielicznych momentach naprawdę śmieszna, a w dodatku rozpaczliwie długa, nie daje większych możliwości ani reżyserowi, ani świetnym aktorom. Choćby to była sama Krystyna Janda i sam Janusz Gajos.

Tematem opowiadania (sic!) Williamsa są perypetie dwójki szalonych pracoholików, którzy przez półtorej godziny spektaklu nie robią niczego innego, tylko telefonują i poszukują różnych ludzi. „Szlachetna” wierność autora trzem jednościami — miejsca, czasu i akcji — trafia kulą w kulisę, bo mu (autorowi) nie starcza talentu, by zadaniu sprostać. Jedność staje się monotonią, gdyż kilkoma dobrymi dowcipami farsy nie zbudujemy. A już zwłaszcza, żartami niesmacznymi, czy (bawoła) głupawo-wul-

garnymi. Nachalny dydaktyzm finału budzi raczej zażenowanie, niż zakładany przez autora (realizatorów?) wstrząs dla widza. Wmieszanie AIDS i raka piersi (z przeczutami na kości) w farsę, nie rodzi żadnego katharsis, tylko zwyczajny niesmak. Jeśli zakończenie miało widza porazić, to należało zupełnie inaczej ustawić akcenty całego przedstawienia. Błąd w sztuce.

Dosłownie i w przenośni. Choć... Kiepsko napisana sztuka wybronić się czasem może błyskotliwą reżyserią. Andrzej

Strzelecki nie miał specjalnego pola do popisu w tak niedobrym tekście, ale najwyraźniej nie miał także dobrej passy twórczej, gdy „Harry’ego...” reżyserował. Jakos niczego zeń „nie wycisnął”. Prawie jednakowe tempo, praktycznie zero komizmu sytuacyjnego, niezróżnicowanie temperatury dialogów, ba — nawet te same ścieżki, jakimi wciąż drepczą postacie, na pewno atrakcyjności przedsięwzięciu warszawskiego Teatru Powszechnego nie dodają.

Nic z tego spektaklu nie wynika, ale to się zdarza w farsach. Gorzej, że „Harry i ja” jest także przedstawieniem mało śmiesznym, a to już w farsie zdarzyć się nie powinno. Niestety, część winy spada i na aktorów. Od pierwszego momentu przedstawienia określone są sceniczne typy, w które się wciela. Tracy

— Krystyna Janda, to, oczywiście, mróweczka, zahukana przez szefa-chama, ale kochająca go beznadziejnie, bez wzajemności i bez względu na okoliczności. Ray — Janusz Gajos jest natomiast bezwzględny wyzyskiwaczem cudzej energii i cudzych pieniędzy, nie posiadającym ani manier, ani zasad, ani (zwłaszcza) serca. No i... tyle. Przez cały czas trwania przedstawienia nie zarejestrujemy żadnego charakterologicznego niuansu, żadnej zróżnicowanej barwy w zachowaniu czy zaskakującej reakcji, jakie zwykle stanowią źródło zabawy w komedii. Dobrze chociaż, że Krystyna Janda różnicuje głos, gdy udaje kobiety różnej narodowości, bo Janusz Gajos całuteńki czas gra z nieznośną manierą przeciągłego akcentu na ostatni wyraz frazy. Pod koniec — słuchać ciężko. Marek Barbasiewicz w ogóle nie gra, bo dostał rolę pijanego bohatera tytułowego i głównie kiwa się na krzesłach.

Zawiodło tak wiele, a publiczność nie zawiodła. Magia nazwisk i zaufanie, jakie widzowie mają do swoich ukochanych — i przecież naprawdę znakomitych — aktorów, sprawiły, że Teatr Rozrywki wypełniony był po brzegi.

HENRYKA WACH-MALICKA



„Marlene” Pam Gems nie jest sztuką teatralną tak wspaniałą, jak Terrence’a McNally’a „Maria Callas. Lekcja śpiewu”, a jednak Krystynie Jandzie udało się zatrzymać uwagę widzów równie silnie, jak przed rokiem.

W „Marlene” nie ma owej aktorskiej pyszności, jaką są dwa wielkie monologi wygłaszane jednocześnie z dwiema ariami boskiej divy, jest za to żywy śpiew aktorki. Prosty tekst Pam Gems (przekład Miry Michałowskiej) o ostatniej godzinie przed jednym z pożegnalnych, ostatnich występów wielkiej gwiazdy naszego stulecia, w pewnej pigułce przynosi wszystkie istotne motywy z życia Marleny Dietrich, od jej biseksualizmu po relacje z córką. Janda wszakże nie ilustruje sobą biografii wielkiej legendy kultury XX wieku. Fantastycznie podchwyciła melodię mowy i śpiewu Marleny Dietrich, jej gesty, sposób poruszania się, ale swą intensywną grą życia konkretnej osoby przydała wymiar uniwersalny. Poprzez Marlenę Janda mówi do nas o cenie gwiazdorstwa, kobiecości, starzeniu się i przemijaniu, a ludzkich małościach i moralności. Bodaj najpiękniej akcentuje aktorka hołd artystce, która za życia stała się legendą, która — nie pozbawiona licznych ludzkich słabości — w swoim życiu na pierwszym miejscu postawiła sztukę i publiczność, i wyborem swym (choć niekoniecznie ludziom) pozostawała wierna do końca. Niemcy albo chętnie zapominają (i pewnych fragmentów sztuki Gems nie grają!), albo do dziś nie potrafią darować Dietrich, że mogąc otrzymać oficjalny tytuł

Słuchanie Krystyny Jandy

Z przyjemnością

największej niemieckiej aktorki wszechczasów, wołała zostać majorem armii amerykańskiej i na frontach II wojny zagrzewać chłopców do boju z niemieckimi żołnierzami. Janda znakomicie punktuje racje moralnego wyboru Marleny, czerpiąc ze znakomitego partnerstwa i wspaniałej gry Marii Klejdysz w niemej roli, pokojowej Marleny i jej równolatki, starej Mutti, która po Dachau nie wypowiedziała ani jednego już słowa...

Różnie wystawia się sztukę Pam Gems na świecie. Czasem aktorki w toku akcji wraz ze wspomnieniami swej bohaterki przywołują też jej piosenki. Spektakl wyreżyserowany przez Magdę Umer dzieli się na dwie części. W pierwszej przyglądamy się przygotowaniu schorowanej Marleny do wyjścia na scenę. Druga to właśnie jej występ a tak naprawdę — plastycznie oparty na filmowej rejestracji występu Marleny Dietrich, recital jej piosenek w wykonaniu Krystyny Jandy, świetnie oświetlonej przez męża, Edwarda Klosińskiego.

Po przerwie Krystyna Janda wkracza na scenę krokiem Marleny. Pierwszą piosenkę śpiewa, niemal idealnie kopiując Dietrich. A po niej mówi: — Nazywam się Krystyna Janda i będę dla Państwa śpiewać piosenki Marleny Dietrich. Wszystko staje się jasne; nie będzie parodii, nie będzie udawania, nie będzie kopiowania ani ściągania się z mitem. Rze- czywiście, Janda śpiewa jej piosenki (m.in. *Johnny, Blond ma-*

leństwo, Czego sobie mogę życzyć?, Lola, Jestem leniwa, La vie en rose z repertuaru Piaf), w jej kostiumie, charakterystycznej, w jej pozie i geście, śpiewa jednak swoje. To fantastyczne, bo jednocześnie pozostaje bohaterką sztuki — Pam Gems, Marleną! Ogromnie pomagają w tym znakomite literacko, fantastycznie współbrzmiające z muzyką (w mistrzowskich aranżacjach Wojciecha Borkowskiego) przekłady Wojciecha Młynarskiego. Krystyna Janda świetnie też dobrała piosenki do tego recitalu. Ich teksty w pewien sposób korespondują z różnorodnymi motywami poruszonymi przez Pam Gems. To potęguje uniwersalność przesłania całego wieczoru. A jeszcze skrzy się refleksją, humorem, raz ironią, to znów melancholią. Raz jest szeptem, raz krzykiem to rzeczową uwagą powiedzianą z dystansem, w kłamrach nawiasu. Janda świetnie tym wszystkim się bawi, samymi tekstami i muzyką, ich wykonaniami przez Marlenę i swoją wiedzą na ten temat, nakładając na jej interpretację swoją własną, czasem i z ciepłym ironicznym uśmiechem. Janda tym piosenką przywraca żywość. Nie śpiewa ich na fali nostalgii, a odnajduje w nich materiał dla własnej, współczesnej wypowiedzi, czy choćby tylko zabawy. Niczego piękniejszego nie można się było spodziewać!

Niektóre piosenki z „Marlene” wykonuje też w recitalu promującym świetną płytę *Live „Krystyna Janda w trójce.*

Piosenki z teatru”. I wtedy wprost powala. Bo śpiewa je jeszcze inaczej. Nie gubiąc żadnych ze smaczków w jakie wyposażała owe piosenki sama Marlena Dietrich, Janda „czyta” ja bardzo współcześnie. Aż się prosi, by trzecią płytą aktorki, która kreację w „Marlene” kończy słowami: — *Poko- chajcie ją*, był album „Krystyna Janda: Dla was śpiewam piosenki Marleny...”!

„Piosenki z teatru” to piękny recital. Taki niedzisiejszy. Wyciszony, bardzo skupiony, interesującymi zapowiedziami znakomicie poprowadzony przez samą aktorkę, z wysokiego krzesła śpiewającą wprost do każdego z osobna. I znów: ogromnie sprzyjają temu teksty Agnieszki Osieckiej z jej „Białej bluzki” (*Sama chciała, Na zakręcie i in.*), Wojciecha Młynarskiego z „Marlene” i tegoż (np. *Szabadabada, Jest fantastycznie*) oraz Jeremiego Przybory (*Jesienne liście, Jak to było, C’est si bon!*) z „Kobiety zawiedzionej”. Janda pięknie rozwija swój kunszt wokalny a tym głosem, który ma, operuje niezwykle inteligentnie. Jeśli krzyknie, to bez hysterii, jeśli ścisza głos, to tak, że ciarki biegają przez plecy a każde słowo jest słyszalne. Nie fałszuje gdy trąca dźwięki tragiczne i nie zagrywa się, gdy odnajduje nuty humoru. Gdy się pomyli (jak w drugim spektaklu „Marlene”), przeprosi i zaczyna od nowa. Wielka artystka, której słucha się z największą przyjemnością.

MAREK SKOCCA



Marlena

Biografie to niekwestionowany przebieg drugiej połowy XX wieku. Tak zwani „zwykli śmiertelnicy” szukają, w książkach, sztukach i filmach, prawdziwych sylwetki, niskiego głosu i niecierpliwych gestów, niemieckiej gwiazdy. Ale obudowuje je podwójnym kostiumem, na znaki-symbolu nakładając swój własny, dobrze znany z wielu kreacji, styl gry. Przerywanie słów, powracanie do kwestii sprzed kilku sekund, gwałtowne zmiany tempa wypowiedzi, dobrze przylegają do bohaterki „Marlene” — kobiety rozpaczliwie mobilizującej ciao i duszę przed kolejnym występem. Idąc za tekstem, Krystyna Janda nie oszczędza wielkiej gwiazdy, ukazując jej pazerność, despotyzm, chimeryczność, a także zarozumiałstwo i egoizm, z jakim traktuje ona nawet jedynego prawdziwego przyjaciela — milczącą, starą opiekunkę Mutti. W powietrzu unosi się jednak — jakby niezauważalnie, a jednak — współczucie i zrozumienie dla prawie siedemdziesięcioletniej pieśniarki, która bandażuje chore nogi i boleśnie ściąga włosy pod peruką, po to, by przeżyć złudzenie powracającej formy, ale także po, by nie zawieść publiczności, oczekującej na spotkanie z mitem. Ten hołd, złożony dyskretnie i z miłością wszystkim odchodzącym w cień aktorkom, uważam za wielką zaletę przedstawienia, emanującego prawdą o człowieku.

Spektakl nie jest jednak akademią „na cześć”; mięni się zmiennością nastrojów, sporą dozą komizmu (pyszna serwerka i interpretacja. Przedstawienie, w reżyserii Magdy Umer, dzieli się na dwie, zamknięte całości stylistyczne. Część pierwsza jest klasycznym spektaklem teatralnym, zaś wszystkie piosenki wypełniają akt II, ułożony w recital. Przejście jest wyraźne i nie pozostawia wątpliwości, po pierwszym utworze aktorka mówi bowiem

Wprost: — *Nazywam się Krystyna Janda i będę śpiewać piosenki Marleny Dietrich.* Nie oznacza to bynajmniej, że w tworzeniu „teatralnej” postaci Marleny, Janda nie nawiązuje do charakterystycznej sylwetki, niskiego głosu i niecierpliwych gestów, niemieckiej gwiazdy. Ale obudowuje je podwójnym kostiumem, na znaki-symbolu nakładając swój własny, dobrze znany z wielu kreacji, styl gry. Przerywanie słów, powracanie do kwestii sprzed kilku sekund, gwałtowne zmiany tempa wypowiedzi, dobrze przylegają do bohaterki „Marlene” — kobiety rozpaczliwie mobilizującej ciao i duszę przed kolejnym występem. Idąc za tekstem, Krystyna Janda nie oszczędza wielkiej gwiazdy, ukazując jej pazerność, despotyzm, chimeryczność, a także zarozumiałstwo i egoizm, z jakim traktuje ona nawet jedynego prawdziwego przyjaciela — milczącą, starą opiekunkę Mutti. W powietrzu unosi się jednak — jakby niezauważalnie, a jednak — współczucie i zrozumienie dla prawie siedemdziesięcioletniej pieśniarki, która bandażuje chore nogi i boleśnie ściąga włosy pod peruką, po to, by przeżyć złudzenie powracającej formy, ale także po, by nie zawieść publiczności, oczekującej na spotkanie z mitem. Ten hołd, złożony dyskretnie i z miłością wszystkim odchodzącym w cień aktorkom, uważam za wielką zaletę przedstawienia, emanującego prawdą o człowieku.

Wprost: — *Nazywam się Krystyna Janda i będę śpiewać piosenki Marleny Dietrich.*

Spektakl nie jest jednak akademią „na cześć”; mięni się zmiennością nastrojów, sporą dozą komizmu (pyszna serwerka i interpretacja. Przedstawienie, w reżyserii Magdy Umer, dzieli się na dwie, zamknięte całości stylistyczne. Część pierwsza jest klasycznym spektaklem teatralnym, zaś wszystkie piosenki wypełniają akt II, ułożony w recital. Przejście jest wyraźne i nie pozostawia wątpliwości, po pierwszym utworze aktorka mówi bowiem

Wprost: — *Nazywam się Krystyna Janda i będę śpiewać piosenki Marleny Dietrich.* Nie oznacza to bynajmniej, że w tworzeniu „teatralnej” postaci Marleny, Janda nie nawiązuje do charakterystycznej sylwetki, niskiego głosu i niecierpliwych gestów, niemieckiej gwiazdy. Ale obudowuje je podwójnym kostiumem, na znaki-symbolu nakładając swój własny, dobrze znany z wielu kreacji, styl gry. Przerywanie słów, powracanie do kwestii sprzed kilku sekund, gwałtowne zmiany tempa wypowiedzi, dobrze przylegają do bohaterki „Marlene” — kobiety rozpaczliwie mobilizującej ciao i duszę przed kolejnym występem. Idąc za tekstem, Krystyna Janda nie oszczędza wielkiej gwiazdy, ukazując jej pazerność, despotyzm, chimeryczność, a także zarozumiałstwo i egoizm, z jakim traktuje ona nawet jedynego prawdziwego przyjaciela — milczącą, starą opiekunkę Mutti. W powietrzu unosi się jednak — jakby niezauważalnie, a jednak — współczucie i zrozumienie dla prawie siedemdziesięcioletniej pieśniarki, która bandażuje chore nogi i boleśnie ściąga włosy pod peruką, po to, by przeżyć złudzenie powracającej formy, ale także po, by nie zawieść publiczności, oczekującej na spotkanie z mitem. Ten hołd, złożony dyskretnie i z miłością wszystkim odchodzącym w cień aktorkom, uważam za wielką zaletę przedstawienia, emanującego prawdą o człowieku.

HENRYKA WACH-MALICKA